

Tego roku w Jeruzalem

9 grudnia 2017

Trump nie powinien w ogóle tykać sprawy Jerozolimy. Ale jeśli już, to za jednym zamachem ustanowić w niej dwie ambasady – do Izraela i do Państwa Palestyńskiego, które powinien uznać.

Od niepamiętnych czasów Jerozolima ma wyjątkowy status nie tylko dla Bliskiego Wschodu. Z wielu kierunków skupiają się w niej emocje o wyjątkowej sile i natężeniu. W tradycji żydowskiej nie masz piękniejszego miasta na ziemi: „Bóg zesłał dziesięć miar piękna: dziewięć dał Jerozolimie, a jedną – reszcie świata” – mówi Talmud. Inni, choć też uznają wyjątkowość tego bardzo starego miasta i też nazywają je „świętym” (arabska nazwa Jerozolimy to właśnie al-Quds, czyli „to co święte”), mają do niego więcej dystansu. Średniowieczny arabski geograf, al-Muqaddasi, nazwał al-Quds „złotą miską pełną skorpionów”.

Ogłaszając w tym tygodniu, że Ameryka uznała Jerozolimę za stolicę Izraela i rozpocznie proces przenoszenia tam amerykańskiej ambasady z Tel Awiwu, prezydent Donald Trump stwierdził, że w ten sposób wyraża uznanie dla izraelskiej demokracji. Powiedział też, że po prostu uznaje rzeczywistość, ale nadal będzie szukał pokoju między Palestyńczykami a Żydami. W rzeczywistości jednak jego ruch jest jak paskudne żądło skorpiona, o którym pisał al-Muqaddasi.

Izrael ma osobliwą stolicę, która nie jest za taką uznawana przez resztę świata. Żaden kraj nie ma więc dotąd w Jerozolimie swojej ambasady. Ta dziwność wynika z historii. Po roku 1947, kiedy ONZ przegłosowało podział Palestyny pod brytyjskim wówczas mandatem, Jerozolima została ogłoszona miastem międzynarodowym, nie będącym ani częścią przyszłego państwa żydowskiego, ani arabskiego. Ale w wojnie, która nastąpiła zaraz potem Izrael i Jordania podzieliły między siebie to miasto, a dwie dekady później, w wojnie

sześciodniowej (po arabsku an-Naksa) w 1967 roku, Izrael zdobył i zaanektował także arabską, Wschodnią Jerozolimę. Jej arabscy mieszkańcy otrzymali specjalny status, ale projekty budowlane, polityka ludnościowa, a ostatnio także bariery bezpieczeństwa przez cały czas służą tylko umacnianiu obecności i panowania Żydów w ich „wiecznej i niepodzielnej stolicy”. Porozumienia z Oslo z roku 1993, w wyniku których powstała Autonomia Palestyńska, sprawiły, że Jerozolima stała się jedną z kilku „kwestii ostatecznego statusu”, które zostały pozostawione do uregulowania w trwałym traktacie pokojowym między Izraelem a Palestyńczykami.

Kongres USA wezwał już dawno do przeniesienia amerykańskiej ambasady do Jerozolimy, a kolejni kandydaci na prezydentów często to obiecywali. Jednak będąc już na urzędzie zawsze znajdowali powody do odłożenia realizacji tej obietnicy. Teraz Trump twierdzi, że wprowadza „bardzo świeże myślenie” na Bliski Wschód: „Uznałem, że jest to taki kierunek działania, który będzie w najlepszym interesie Stanów Zjednoczonych i będzie zmierzał do pokoju między Izraelem a Palestyńczykami”. Trump jednak się myli. Ten kierunek nie pomoże ani jednemu, ani drugiemu.

Przede wszystkim jest to przyznanie się do porażki. Trump przesądza o wyniku „ostatecznego porozumienia”, jakim ma być pokój izraelsko-palestyński, do którego jakoby dąży w swym działaniu. Ale Izraelowi już przyznał nagrodę, nie biorąc niczego w zamian ani nie wspominając o prawie Palestyńczyków do własnego państwa. To osłabiło zarówno jego osobisty dalszy wpływ na wszelkie rozmowy pokojowe, jak i twierdzenie Ameryki, że jest uczciwym mediatorem między Izraelczykami a Palestyńczykami. Po drugie, Trump znowu zdyskredytował już i tak bardzo kiepskiego palestyńskiego prezydenta, Mahmuda Abbasa, oraz wszystkich tych, którzy twierdzą, że aspiracje palestyńskie można zaspokoić raczej poprzez negocjacje niż przemocą, a to nie jest wcale jasne, zwłaszcza dla Palestyńczyków, ponieważ Izrael przeważnie osiąga swoje cele

przemocą. Po trzecie, wprowadził w duże zakłopotanie swoich arabskich sojuszników i utrudnił im przejście do faktycznego sojuszu z Izraelem, aby przeciwdziałać ekspansji wpływów Iranu na Bliskim Wschodzie, o co i oni i Izrael zabiegają.

Być może Trump liczy na to, że reżimy arabskie są zbyt pochłonięte innymi kryzysami, aby zawracać sobie głowę Palestyną, i że Palestyńczycy są zbyt podzieleni i zniechęceni, aby dało się z tym wiele więcej zrobić. Jednak nawet jeśli perspektywę niepokojów w Palestynie da się jakoś wyciszyć, Trump bezsensownie ryzykuje podsycanie przemocy.

Trump stara się powiedzieć, że Ameryka zaakceptuje wszelkie przyszłe porozumienia w sprawie Jerozolimy, na które zgodzą się Izrael i Palestyńczycy. A jakie to ma znaczenie co USA zaakceptują, jeśli te dwie strony rzeczywiście się zgodzą? W praktyce Stany Zjednoczone, podobnie jak większość innych krajów, już traktują Jerozolimę jako stolicę Izraela. Dyplomaci i politycy amerykańscy, w tym prezydenci, spotykają się z izraelskimi ministrami właśnie w Jerozolimie. Skoro jednak, rebus sic stantibus, uznanie nie robi praktycznie dużej różnicy, to po co Trump w ogóle zawracał sobie nim głowę?

Odpowiedź nie ma nic wspólnego z polityką amerykańską na Bliskim Wschodzie, ponieważ w całości leży po stronie polityki wewnątrz USA. U siebie Trump musi walczyć o wprowadzenie w życie swoich obietnic wyborczych napotykając na silny opór w Kongresie i w sądach. Lecz oto proszę: za granicą jednak spełnił teraz radykalną obietnicę i to taką, której jego poprzednikom nie opłacało się dotąd dotrzymać. Ważne jest przy tym i to, że jego baza wyborcza uwielbia Izrael i nie lubi Arabów; oraz to, że wielu tzw. „ewangelicznych chrześcijan” dość prymitywnie wierzy w to, że zgodnie z biblijnym i talmudycznym proroctwem zgromadzenie się Żydów na Syjonie przyspieszy drugie przyjście Mesjasza.

Trumpowi najlepiej byłoby w ogóle nie dotykać Jerozolimy.

Powinna ona pozostać jako ukoronowanie wszystkich rozstrzygnięć w ostatecznym porozumieniu pokojowym. Ale skoro już musiał tak potrząsnąć sprawami na Bliskim Wschodzie, to powinien swój radykalizm podwoić i pójść o krok dalej: nie otwierać jednej ambasady w Jerozolimie, ale dwie. Jedna do Izraela w zachodniej części miasta, a druga we Wschodniej Jerozolimie do Palestyny, którą powinien także uznać jako państwo. Dwie ambasady do dwóch państw i dwóch narodów w Palestynie – oto jak powinno wyglądać naprawdę świeże strategiczne myślenie polityka dużego kalibru. Widać jednak, że Trump takim politykiem nie jest.

Autorstwo: Bogusław Jeznach

Źródło: NEon24.pl